Cena zł. 3

KULTURA

pismo poświęcone kulturze radzieckiej

Rok I | Kraków, 1 grudnia 1945 r. | Nr. 1

ALEKSY TOŁSTOJ

KATIA

Malarz tak namalowałby jej portret: Katia stoi i uśmiecha się, delikatne jej włosy są rozwiane, jak gdyby igrał nimi majowy wiatr, perkalikowa sukienka z wyraźną satysfakcją układa się na kształtnej figurze dziewczyny, poza nią, wśród obłoków przebijają się przez lazur ciepłe promienie słońca, pod stopami — coś w rodzaju kąkolu czy dmuchawca i — rzecz najistotniejsza — twarz, wzniesione pytająco brwi, nosek zadarty z wyrazem pewności siebie, nieugaszoną wolą życia połyskujące, rozmarzone, mądre, niewinnej namiętności pełne oczy, wilgotne, leciutko nabrzmiałe wargi — twarz taka, że sam malarz, nie dokończywszy portretu, zakochałby się niezawodnie w tym osiemnastoletnim dziewczęciu, gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Katia nie znosiła żadnej niesprawiedliwości, okrucieństwa, zamętu. Są ludzie, którzy po prostu dla ciekawości wyskakują z tramwaju, by się wmieszać w jakąś awanturę uliczną. Katia, przeciwnie, uważała, że dobrze jest wówczas, kiedy dokoła widzi się ludzi życzliwych, dobrych, wesołych, energicznych... Na odgłos dzikich okrzyków na ulicy, ściskało jej się serce. Nie i jeszcze raz nie! Wszystko, co złe, na nic się nie zda w tym życiu.

Ale zda się czy nie zda, a źli ludzie jednak istnieli i wiele dookoła było niedoli. Katia wszakże miała osiemnaście lat, rozwijała się jeszcze; toteż i życie dokoła niej powinno było się rozwijać, krzepnąć i doskonalić się. Katia wierzyła w to święcie. Wszystko, co ponure i złe, powinno było zniknąć, jak z ulic Moskwy znikały przegniłe domki, a zamiast nich wyrastały z dnia na dzień wielkie bloki, czyli tak zwane „kompleksy". Kiedy rankiem przebiegała Katia przez Plac Czerwony do szkoły, nic nie potrafiłoby jej przekonać, że złote wskazówki wieżowego zegara posuwają się ku złemu. Nic podobnego. Czas kierował wskazówkami zegara ku kasinemu szczęściu, a więc i ku szczęściu powszechnemu.

Ojciec Kati pracował w truście i co roku przez sześć i pół miesiąca czekał cierpliwie chwili, kiedy można będzie zanurzyć z rozkoszą ręce w wilgotnej ziemi ogrodu na wsi pod Moskwą. Matka Kati szyła w domu damską bieliznę. Po całych dniach brzęczała ścicha kołem maszyny do szycia, i w głowie kasinej mamy brzęczały ścicha pełne troski myśli o ojcu, o Kati, i o bracie Kati, Leonie, studencie fizyki na uniwersytecie moskiewskim.

Katia chodziła z bratem do teatru, do filharmonii i do kina, ale więcej nawet niż to wszystko, lubiła po wieczornej herbacie, usadowiwszy się z nogami na starej otomanie, gwarzyć z Leonem szeptem o najrozmaitszych fantastycznych sprawach. Na pół leżąc obok Kati i gryząc ustnik zgasłego papierosa, brat opowiadał jej takie oto naprzykład historie:

„Jakie będą zdobycze fizyki dosłownie w ciągu paru najbliższych lat? Podróż w przestrzenie międzyplanetarne — dajmy na to — do nieznanej nam, wspaniałej kultury na Marsie. Nie będziesz musiała w tym celu lecieć sama trzysta milionów kilometrów, ryzykując w dodatku, że się rozbijesz na proszek przy lądowaniu... Do międzyplanetarnego pocisku reaktywnego przyczepia się kamerę optyczną z obiektywem i radiową stacją nadawczą. Obiektyw notuje wszystko i przesyła fale, które chwytamy na ziemi i odtwarzamy przy pomocy podobnej kamery optycznej na ekranie... Tu oto stoi radioodbiornik i ekran... Szafę i parawan wyrzucimy do wszystkich diabłów... Siedzisz sobie na otomanie z podwiniętymi nogami i z całym komfortem odbywasz podróż międzygwiezdną... Pocisk zbliża się do Marsa i na ekranie ukazuje ci się krajobraz do niczego nie podobny: jaskrawa czerwień pustyni, poprzecinanej kanałami szerokości stu kilometrów... Nad brzegami kanałów długimi szeregami ciągną się miasta z okrągłymi domami... I marsjanie — istoty czworonożne — ale zauważ: dwurękie, o wielkich galaretowych twarzach i niezwykłym nadludzkim umyśle... Tak... A druga zdobycz, Kasiu, będzie dopiero za jakieś lat dwadzieścia, nad tym trzeba będzie jeszcze porządnie się napocić... To przekazywanie materii na odległość, przy pomocy takich samych fal, jak radiowe... Muszę, dajmy na to, wysłać cię terminowo do Australii, do Melbourne, do narzeczonego... Wprowadzam cię do specjalnej kabinki, włączam kontakty do głowy i do pięty, puszczam prąd ultraczęstotliwy, który chwyta aparat przesyłający przetransformowaną materię w postaci fal radiowych. Pod działaniem drgań ciało twoje poczyna się rozpadać, materia zmienia się w energię i w całkowitym porządeczku lecisz sobie do Melbourne. Twój głupkowaty narzeczony siedzi tam w takiej samej kabince przy odbiorniku, w którym napowrót z energii stajesz się materią, pojawiasz się najpierw w postaci mgławicy, następnie zaś w całej okazałości... Namiętny pocałunek, i idziecie do kawiarni... Tak, Kasiu, nie zdążymy się obejrzeć, jak życie stanie się zdumiewającym królestwem dobrego ducha... Można kulę ziemską wzdłuż sześćdziesiątego piątego równoleżnika opasać kablem elektrycznym o grubości jakichś pięćdziesięciu centymetrów, puścić przez niego prąd o napięciu pół miliona volt i w ten sposób rozładować pole magnetyzmu ziemskiego, które jak wiadomo, zatrzymuje słoneczną energię korpuskularną, i na sześćdziesiątym piątym równoleżniku, w tundrach, wyrośnie wino... Wszystko będzie zmechanizowane — wystarczy po prostu nacisnąć odpowiedni guzik... Pracować się będzie po dwie godziny dziennie, no, powiedzmy, cztery... wydaje mi się czasem, że potrafię diabli wiedzą co wymyśleć i zrobić... Dobrze mówię... Najważniejsze — to nie stawiać żadnych granic myśli... A jeszcze ważniejsze — to zniszczyć najgłówniejsze źródło wszelkich ograniczeń — wojnę, zniszczyć same przyczyny wojny... Zbliżają się rzeczy niepojęcie, nieopisanie potworne... Wierzaj mi... Nad moim mózgiem, nad geniuszem ludzkim zawisło coś smrodliwego, chciwego, okrutnego..."

*

Wojna spadła na geniusz ludzki. Dusza niemiecka wyrwała się na wolność, by do syta rozkoszować się złem... Niemca dopuszczono wreszcie do krwi, udzielono mu rzadkiej rozkoszy: mordowania ludzi... Rozpoczął się huczny obrzęd starogermańskiej uczty: można było iść naprzód z zakasanymi rękawami, palić, deptać, wysadzać w powietrze, przeszywać, patrzeć na dymy, kłęby dymów zaścielające horyzont, na łuny pożarów, patrzeć na kałuże krwi, na twarze ludzkie, zeszpecone w strachu przedśmiertelnym. — Naprzód! — wołali Niemcy. — Ho! Ho! Oto prawdziwe życie pełnowartościowe.

*

Tego lata Katia skończyła szkołę, ale zamiast na uniwersytet, poszła do pracy. Wojna nie oszczędziła jej rodziny. Ojciec skarżyć się począł na ataki duszności i osłabienie, we wrześniu zabrali go do szpitala, otworzyli jamę brzuszną, no i zaszyli z powrotem; po kilku dniach umarł. Matce Kati tak się potem zaczęły trząść ręce i głowa, że maszynę do szycia trzeba było okryć pokrowcem. Leon jako ochotnik pułku artylerii poszedł na front. Katia, jak większość dziewcząt w Moskwie, pracowała uczciwie najpierw w jakiejś instytucji, potem w fabryce wojennej. Kiedy Niemcy zbliżali się do Moskwy, wraz z innymi kopała okopy i rowy przeciwczołgowe. Jakkolwiek wystarczyłoby samych tylko bomb burzących i huku artylerii przeciwlotniczej, by przekonać się, że wojna jest czymś realnym, wojna była dla jej zmysłów rzeczą nieuchwytną, zapewne dlatego, że zło tak wielkie nie mogło się pomieścić w jej radosnym sercu. Katia nie mogła objąć ani śmierci milionów ludzi, ani możliwości tego, co robili Niemcy: tortur, gwałtów, morderstw. Wierzyła w to wszystko, ale wyobrazić sobie nie mogła. Malarz nie zabrałby się chyba teraz do kasinego portretu. Stała się milcząca, chodziła ze wzrokiem spuszczonym, ze ściągniętymi brwiami. Czuła się jak mucha na szybie okiennej: była przed nią jakaś niepojęta zapora.

Leon pisał z frontu: Skończył się wreszcie ciężki okres, kiedy musieliśmy tłumić w sobie wstyd, cofając się przed bydłem... Teraz oni się cofają.. Z zadowoleniem spoglądam na sterczące zewsząd wśród zasp nogi Niemców, w samych skarpetkach, z dziurami na piętach.. W ogóle wszystkich tych wstrętnych hansów i szpansów po wszystkich drogach wala się nieprawdopodobne mnóstwo. Zatłuczemy ich jeszcze więcej. Niemcy wsiąkli w Rosji — i zrozumieli to już teraz. Kasiu, żyję nienawiścią, każdą łyżkę żołnierskiej zupy zagryzam nienawiścią... Nienawiść dojrzewa we mnie wspaniale — nienawiść fizjologiczna, narodowa, filozoficzna... Nie ma litości dla burzycieli dobra... Wiele myślę o Tobie, siostrzyczko... Widziałem takie dziewczęta, jak Ty, zadręczone przez Niemców... Boże miłosierny... Drżyjcie przed nami Niemcy... I ty Kasiu żyj, zaciskając zęby w nienawiści. Jesteś Rosjanką, więc umiesz kochać i nienawidzić do końca...

Aż pewnego razu przyszła z frontu pocztówka — ktoś, kto się podpisał nieczytelnie, donosił Kati, że brat jej, starszy sierżant Leon Iwanow, poszedł na zwiady i nie powrócił.

*

Kiedy Katia czytała tę pocztówkę, całą potwornością wojny zacisnęło się jej serce. Szybko, szybko drżeć poczęły wargi. Spadło na nią coś niewidzialnego, niesłyszalnego. Hamując się z całych sił, czytała pocztówkę raz jeszcze, i łzy ściekały z pocztówki wraz z fioletowym atramentem. Leona już nie ma! To niemożliwe! A jednak świat może istnieć bez niego, i kot sąsiadów tak samo miauczy na schodach... Katia poczuła wojnę.

Wyciągnęła jego listy, rozłożyła je na starej otomance i czytała, czytała w pośpiechu. Wszystko w nich było inne, nabierały zupełnie nowego sensu. W nocy Leon ukazał się jej tak straszny, że dłońmi zatkała usta i cicho łkała w poduszkę. Przed matką ukryła wszystko. Nazajutrz pojechała do komendy wojskowej. Wzięto ją jako sanitariuszkę na front.

*

Katia siedziała ze zwieszonymi nogami na platformie ze sprzętem sanitarnym. Pociąg szedł powoli, zatrzymywał się i szarpał. Na linii naprawiano tory. W marcowym słońcu topniał śnieg, a nocą chwytały przymrozki. Wszędzie w pobliżu toru spod topniejącego śniegu ukazywały się brudne powykręcane ręce, ogromne nagie stopy, wzdęte kadłuby Niemców. Poprzez lód widać było ich posiniałe twarze, jak gdyby ci nieboszczycy daremnie starali się spojrzeć ściętymi, szklanymi oczyma w wiosenne słońce. Przejechali już tak wiele kilometrów, i wciąż te same trupy sterczały po rowach. Czarne ptaki gromadami wzbijały się nad nimi i obsiadały je z powrotem. Wszędzie, aż do krańca horyzontu, czerniły się na śniegu i rdzą błyszczały na pagórkach potrzaskane, rozbite, spalone, wywrócone auta wojskowe i armaty, stosy skrzynek, i wiatr podrywał ze śniegu i pędził przed siebie strzępki listów, miliony zapisanych kartek — spóźnionych skarg na przewlekającą się wojnę... Była to droga niemieckiego odwrotu czterdziestego trzeciego roku.

Znudziło się Kati patrzeć na truposzów. Na mankiecie fartucha miała zdobyczny zegarek. Poczęła obserwować, jak wskazówka minutowa przesuwa się niespostrzeżenie między podziałkami — i nagle zauważyła, że raz po raz dobywają się z jej piersi krótkie, urywane westchnienia. Przypomniał jej się inny zegarek — ze złotymi wskazówkami, z innego życia. Cóż to znowu takiego, patrzcie państwo! Katia potrząsnęła głową i zabrała się znowu do liczenia Niemców.

W oddziale sanitarnym Katia miała opinię stanowczej, a nawet szorstkiej, od czasu, kiedy w czasie zamieci stanęła pośrodku szosy, sama zatrzymała kilka aut ciężarowych i grożąc, że zacznie strzelać do kierowcy pierwszego auta, zmusiła je, by skręciły do szpitala polowego po rannych. Katia lubiła wszelkie przejawy siły, twardości, pasji. Strzelcy nieprzyjacielscy mogli przedostać się na tyły i rozpocząć strzelaninę z automatów — nie mąciło to jej spokoju. Sama brała automat do ręki.

Szkoda, że na froncie nie było malarza, by narysował jej portret: w zwykłym, brudnobiałym półkożuszku i grubych butach — była przecież zdumiewająco zgrabna; wielkie, jasne, surowe oczy, smagły rumieniec na policzkach, a spod szarej czapki wychylający się kosmyk delikatnych włosów, którym pod czapką było zbyt ciasno.

*

Walki toczyły się na Ukrainie. Front był ze wszystkich stron. Nocami dokoła na horyzoncie płonęły wysoko łuny i ziemią i niebem wstrząsał taki łoskot wojenny, jakiego nigdy jeszcze nie słyszeli ludzie.

Katia dostała medal za odwagę — rankiem, przy samochodzie sanitarnym, wręczył jej ten medal major, który miał także na nazwisko Iwanow. Po wypowiedzeniu wszystkiego, co z urzędu powiedzieć należało, major ni z tego ni z owego dorzucił nagle od siebie: „Dumny z was jestem i cieszy mnie wasza radość, Katiu, kochamy was przecież wszyscy". A tej samej nocy znalazła się Katia pod obstrzałem niemieckiego moździerza. Gdzieś na skrzydle rozległa się nagle po północy zajadła strzelanina, okrzyki „hurra", kule trasujące wzbiły się w powietrze, w górze zawisły rakiety, oświetlając niebo blaszanym, wyraźnym, jaśniejszym od słońca światłem. Niewielki nasz oddział, operujący w sąsiedztwie, usiłował okrążyć Niemców, ale sam znalazł się w okrążeniu i teraz się przebijał.

W czasie, kiedy walka jeszcze wrzała, Katia z dwiema sanitariuszkami poczołgała się po rannych. Jeden ranny w watowanej bluzie i w hełmie żelaznym, w świetle rakiety zawisłej na płaskim niebie, usiłował pełznąć w stronę naszych pozycji: unosił się na rękach i znów opadał. Katia, pochyliwszy się nisko, podbiegła do niego, położyła się obok, i ledwie zdążyła zarzucić sobie jego ręce na ramiona, jak świecące przekleństwo niebo przeszyła mina, szarpnęła, i Katię obróciło kilka razy.

Kiedy odzyskała przytomność, nie od razu zrozumiała, czemu jej buty skrobią czubkami o zamarznięte grudy ziemi. Okazało się, że ten sam ranny, w hełmie i watowanej bluzie, pojękując ciągnie Katię po ziemi w kierunku naszych okopów.

— Słuchaj, — powiedziała Katia. — Daj spokój. Poleżmy lepiej. Nabiorę zaraz tchu, trąciło mnie tylko. Już ja się dowlokę.

Położyli się obok siebie, twarz przy twarzy. Ranny już nie jęczał, tylko raz po raz zgrzytał zębami. Kilka minut leżeli w ciemnościach. I znów niebo błysnęło blaszanym światłem.

— Czego zębami zgrzytasz, boli cię? — spytała Katia i zwróciła głowę, nie unosząc jej z ziemi, w stronę rannego. Tamten również zwrócił głowę. I Katia nie od razu poznała, że to — Leon, jej brat. I on także nie od razu poznał Katię. A zresztą, może to potem dopiero zaczęło im się wydawać, że się nie od razu poznali.

ALEKSY TOŁSTOJ

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

POŻEGNANIE

W aucie,
zmieniwszy ostatniego franka.
O której do Marsylii odchodzi?
Paryż
biegnie,
w świetle
poranka
odprowadza
w niewysłowionej urodzie.
Rozłąko,
w oczach
wilgocią wzbieraj,
czułością
serce mi
rozkwaś!
W Paryżu
chciałbym
żyć
i umierać,
Gdyby nie było
takiej ziemi.

Moskwa.

tł. JAN KOTT

M—03965

MICHAŁ SZOŁOCHOW

NAUKA NIENAWIŚCI

Opowiadanie

„...Nie można pokonać wroga, nie nauczywszy się nienawidzić go z całej duszy".

Na wojnie każde drzewo, podobnie jak człowiek, przechodzi własne koleje losu. Widziałem wielką działkę lasu, wyciętą ogniem naszej artylerii.

Niedawno w lesie tym umacniali się Niemcy, wyparci ze wsi S., — sądzili, że uda im się tu zatrzymać, ale śmierć skosiła ich razem z drzewami. Pod obalonymi pniami sosen leżały trupy niemieckich żołnierzy, wśród zielonych paproci gniły porwane na strzępy ich ciała, i smolisty aromat strzaskanych pociskami sosen nie był w stanie przemóc duszącego-słodkawych, ostrych wyziewów, unoszących się nad rozkładającymi się trupami. Zdawało się, że nawet ziemia, usiana brunatnymi, opalonymi i ostrymi krawędziami wybojów, wydziela grobowy zapach...

Śmierć, majestatyczna i milcząca, niepodzielnie panowała nad tą polaną, wyrąbaną i zrytą przez nasze pociski, i tylko na samym środku polany stała jedna, jedyna cudem ocalała brzózka, i wiatr kołysał jej gałązki, pokaleczone odłamkami granatów, i szumiał, poruszając młodymi błyszczącymi lepkimi listeczkami.

Przechodziliśmy przez polanę. Idący na przedzie łącznik z lekka dotknął ręką pnia brzozy i ze szczerym zdziwieniem łagodnie spytał:

— Jakżeś ty ocalała, moja ty miła?...

Jeżeli jednak sosna, ginąc od pocisku, pada, jak skoszona, i na zrębie zostaje jedynie iglasta, ociekająca żywicą główka, to zupełnie inaczej spotyka śmierć dąb.

Na przedwiośniu pocisk niemiecki uderzył w pień starego dębu, rosnącego na brzegu bezimiennej rzeczki. Poszarpana, ziejąca rozpadliną wysuszyła pół pnia, ale jego druga połowa, przygięta wybuchem ku rzece, na wiosnę dziwnie ożyła i pokryła się świeżymi listkami. Zapewne po dzień dzisiejszy dolne gałęzie okaleczonego dębu kąpią się w wodzie, a górne — wciąż jeszcze chciwie wyciągają ku słońcu kształtne, giętkie liście...

Wysoki, nieco zgarbiony, z głęboko osadzoną, jak u sępa, głową, porucznik Gerasimow siedział przy wejściu do blindaża i szczegółowo opowiadał o dzisiejszym boju, o czołgowym ataku przeciwnika, pomyślnie odpartym przez batalion.

Na szczupłej twarzy porucznika malował się spokój, graniczący z obojętnością. Zaognione oczy ze zmęczenia były przymrużone. Mówił nadwyrężonym basem, od czasu do czasu splatając wielkie sękate palce rąk i gest ten, tak wymownie oddający tłumiony smutek albo też głęboką i ciężką zadumę, dziwnie nie harmonizował z jego silną postacią, z energiczną, mężną twarzą.

Nagle zamilkł i twarz jego błyskawicznie się zmieniła: śniade policzki bladły, na skroniach nabrzmiały żyły, a bacznie wpatrzone przed siebie oczy zapłonęły tak nieutajoną, zawziętą nienawiścią, że mimowoli odwróciłem się w kierunku jego spojrzenia i zobaczyłem trzech jeńców niemieckich, idących lasem z przedniego skraju naszych okopów, a za nimi eskortującego ich żołnierza w wyszarzałej, prawie białej od słońca, letniej bluzie i w pilotce, zsuniętej na tył głowy.

Żołnierz szedł wolno. Miarowo kołysał się w jego rękach karabin, błyszczało na słońcu żądło bagnetu. Równie wolno ciągnęli jeńcy niemieccy, jak gdyby z musu, powłócząc nogami, w krótkich butach, wymazanych żółtą gliną.

Idący na przedzie Niemiec — już w podeszłym wieku, z zapadniętymi policzkami, gęsto zarośniętymi rudawą szczeciną — zrównał się z blindażem, spojrzał w naszą stronę spode łba, jak wilk, i odwrócił się, poprawiając w marszu zawieszony u pasa kask. Wtedy lejtnant Gerasimow zerwał się nagle z miejsca i krzyknął na czerwonoarmistę ostrym, urywanym głosem:

— Co to, na spacer ich wiedziesz? Natychmiast przyśpiesz kroku! Mówię ci, prędzej prowadź!...

Widocznie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z oburzenia zabrakło mu tchu, i zawróciwszy gwałtownie, szybko zbiegł po schodkach do blindażu. Obecny przy rozmowie oficer oświatowy, w odpowiedzi na moje zdziwione spojrzenie, rzekł półgłosem:

— Nie ma rady — nerwy. Był w niewoli u Niemców, chyba wiecie o tym? Porozmawiajcie z nim kiedykolwiek. Wiele tam u nich przeżył, i odtąd nie może patrzeć na żywych hitlerowców, właśnie na żywych! Na zabitych patrzy i, rzekłbym, nawet z zadowoleniem, ale gdy jeńców zobaczy, to albo oczy zamyka i siedzi blady i spocony, albo odwróci się i odchodzi.

Oficer oświatowy przysunął się do mnie i zaczął mówić szeptem: — Dwukrotnie szedłem z nim do ataku, siłę ma końską, popatrzylibyście, co on wyrabia... Różne różności widziałem, ale jak on pracuje bagnetem i kolbą, wiecie — to wprost straszne!

*

Przez całą noc trwał niepokojący ogień ciężkiej artylerii niemieckiej. Metodycznie, w równych odstępach czasu rozlegał się z dala strzał armatni, po kilku sekundach nad naszymi głowami, wysoko w gwiaździstym niebie słychać było żelazny klekot pocisku, wyjące dźwięki narastały i oddalały się, a później gdzieś tam za nami, w kierunku drogi, po której w ciągu dnia gęsto jechały samochody, dowożące na linię frontu amunicję, żółtą błyskawicą wzbijał się płomień i jak grom rozlegał się wybuch.

W odstępach między strzałami w lesie panowała cisza, a wówczas słychać było, jak cieniutko brzęczały komary i jak w sąsiednim bagnisku nieśmiało nawołują się zaniepokojone strzelaniną żaby.

Leżeliśmy pod krzakiem leszczyny, i lejtnant Gerasimow, odpędzając odłamaną gałązką komary, nie śpiesząc się, opowiadał o sobie. Podaję to opowiadanie tak, jak udało mi się je zapamiętać.

— Przed wojną pracowałem w fabryce w Zachodniej Syberii jako mechanik. Do armii zostałem powołany 9 lipca ubiegłego roku. Mam rodzinę — żonę, dwoje dzieci, ojca-inwalidę. Na pożegnanie żona, oczywiście, popłakała, i rad na drogę udzieliła: „Broń ojczyzny i nas mocno. Jeżeli będzie trzeba, życie oddaj, byleby zwycięstwo było nasze". Pamiętam, uśmiechnąłem się wtedy i odrzekłem: „Kim ty jesteś — żoną czy agitatorem rodzinnym? Jestem już dorosły, a co się tyczy zwycięstwa, to wydrzemy go wrogowi razem z gardłem, możesz być spokojna!"

Ojciec, naturalnie, jest człowiekiem mocnym, ale bez nakazu i tu się nie obeszło: „Uważaj, — powiada — Wiktor, nazwisko Gerasimow to nazwisko nie zwyczajne. Jesteś robotnikiem z dziada pradziada, pradziad twój u Stroganowa pracował; nasza rodzina setki lat dla ojczyzny żelazo wytwarzała, i żebyś mi na tej wojnie był z żelaza. Władza jest nasza, dowódcą rezerwy przed wojną cię mianowała, wroga winieneś bić jak się należy".

„Zrobi się, ojcze".

Po drodze do stacji wstąpiłem do partyjnego komitetu rejonowego. Nasz sekretarz był człowiekiem bardzo oschłym i rozsądnym... No, myślę sobie, jeżeli nawet żona z ojcem agitowali mnie na drogę, to ten już nie przepuści okazji, palnie jakąś mówkę, choćby półgodzinną, z pewnością palnie! A stało się wręcz przeciwnie. „Siadaj, Gerasimow, — powiada do mnie nasz sekretarz — przed podróżą starodawnym obyczajem posiedzimy chwilę".

Posiedzieliśmy nieco w milczeniu, potem sekretarz wstał i widzę — okulary ma jakby spocone... To ci dopiero, myślę, jakie się teraz cuda dzieją! A sekretarz powiada: „Wszystko jest jasne i zrozumiałe, towarzyszu Gerasimow. Pamiętam cię jeszcze ot takim smykiem, z krawatem pionierskim na szyi, pamiętam później jako komsomolca, znam cię także jako komunistę w ciągu lat dziesięciu. Idź, tęp gadzinę bezlitośnie! Organizacja partyjna jest pewna, że nie zawiedziesz". Pierwszy raz w życiu pocałowaliśmy się z naszym sekretarzem, i czort go tam wie, wydał mi się wtedy wcale nie takim zasuszonym, jak przedtem...

I tak mi się jakoś ciepło na duszy zrobiło od jego serdeczności, że wyszedłem z komitetu uradowany i wzruszony.

A na dobitkę i żona mnie ubawiła. Rozumiecie sami, że odprowadzanie męża na front dla żadnej żony nie jest przyjemnością; rzecz naturalna, moją również nieco od niedoli zamroczyło; wciąż chciała mi coś ważnego powiedzieć, ale w głowie miała przeciąg, wszystkie myśli wyleciały. I już pociąg ruszył, a ona ciągle biegnie obok naszego wagonu, ręki mojej nie chce puścić i szybko mówi:

„Pamiętaj, Witku, uważaj na siebie, żebyś się tylko nie przeziębił tam na froncie". „Co ty, — mówię — Nadziu, co ty! Za nic w świecie się nie przeziębię. Klimat tam wspaniały i nawet bardzo umiarkowany". Ciężko mi było rozstawać się z żoną, ale od jej miłych i dziecinnych słów weselej mi się zrobiło, a przeciw Niemcom ogarnęła mnie dzika wściekłość. Ruszyliście nas, zdradzieccy sąsiedzi, teraz miejcie się na baczności! Zadamy wam bobu!

Gerasimow milczał kilka chwil, przysłuchując się strzelaninie karabinów maszynowych, wszczętej na przednim skraju, a potem, gdy strzelanina ucichła tak samo niespodzianie, jak się zaczęła, ciągnął dalej:

— Przed wojną w naszej fabryce otrzymywaliśmy z Niemiec maszyny. Podczas montażu niekiedy z pięć razy pomacam każdy detal, obejrzę ze wszystkich stron. Nic złego powiedzieć nie można — mądre ręce robiły te maszyny. Książki pisarzy niemieckich czytałem i lubiłem, i w ogóle jakoś przywykłem z szacunkiem odnosić się do narodu niemieckiego. Coprawda, niekiedy złość brała, że taki pracowity i utalentowany naród znosi u siebie najbardziej plugawy reżym hitlerowski, ale ostatecznie, była to ich sprawa. Potem zaczęła się wojna w Europie Zachodniej...

A więc jadę na front i myślę sobie: technikę Niemcy mają doskonałą, armię — też sobie niczego. Nie ma co mówić, z takim przeciwnikiem to nawet będzie ciekawe bić się, że szczególnej uczciwości po tym przeciwniku nie spodziewałem się; co tam zresztą za uczciwość, skoro ma się do czynienia z faszyzmem. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że trzeba będzie wojować z tak wyzutą z sumienia zgrają łotrów, jaką się okazała armia niemiecka. Ale o tym później...

W końcu lipca nasz oddział przybył na front. Bój zaczął się 27-go wczesnym rankiem. Na początku, jako że to pierwszyzna, — było trochę strasznie. Ich moździerze dawały się nam mocno we znaki, ale pod wieczór oswoiliśmy się nieco i daliśmy im łupnia, — wyparliśmy ich z jednej wioski. W bitwie tej wzięliśmy do niewoli grupę jeńców, było ich tak z piętnastu. Pamiętam jak dziś: przyprowadzono ich, przerażonych, bladych; nasi żołnierze wtedy już ostygli z zapału bojowego, więc każdy z nich wciska jeńcom co może: jeden — menażkę kapuśniaku, drugi — tytoń lub papierosy, a jeszcze inny — herbatą częstuje. Klepią ich po ramionach, „kameradami" nazywają, o co — pytają — wojujecie, „kamerady"...

Jeden z żołnierzy-kadrowców patrzy na ten wzruszający obrazek i powiada: „Rozkrochmaliliście się, przyjaciółmi ich nazywacie. Tutaj każdy z nich kameradem jest, a popatrzylibyście, co ci kameradzi wyczyniają tam, za frontem, i jak obchodzą się z naszymi rannymi i z ludnością cywilną". Powiedział, jakby nas zimną wodą oblał i poszedł.

Wkrótce rozpoczęliśmy ofensywę i wtedy rzeczywiście napatrzyliśmy się!... Spalone doszczętnie wsie, setki rozstrzelanych kobiet, dzieci, starców, zeszpecone zwłoki jeńców-czerwonoarmistów, zgwałcone i bestialsko pomordowane kobiety, dziewczęta i dziewczynki-podlotki...

Jedna szczególnie wryła mi się w pamięć: miała może lat jedenaście i widocznie szła do szkoły. Niemcy ją schwytali, zawlekli do ogrodu, zgwałcili i zamordowali. Leżała wśród pomiętych łodyg kartoflanych, maleńkie dziewczątko, dziecko jeszcze, a wokoło rozrzucone, zalane krwią zeszyty szkolne i podręczniki... Twarz miała okropnie zmasakrowaną płaskim bagnetem, w ręce ściskała otwartą teczkę szkolną. Przykryliśmy ciało płaszczem pochodowym i staliśmy w milczeniu. Potem żołnierze w milczeniu rozeszli się, a ja stałem i, pamiętam, szeptałem jak opętany:

— „Barkow, Połowinkin. Geografia fizyczna. Podręcznik dla niepełnej średniej i średniej szkoły". Przeczytałem to na jednym z podręczników, rozrzuconych tamże, w trawie, a podręcznik ten znałem. Córeczka moja także była w piątej klasie...

Było to niedaleko od Różyna. A pod Skwirą w wąwozie natknęliśmy się na miejsce straceń, gdzie katowano wziętych do niewoli czerwonoarmistów. Czy byliście już kiedyś w jatce? A więc, tak mniej więcej wyglądało to miejsce... Na konarach drzew, które rosły w wąwozie, wisiały pokrwawione kadłuby ludzkie, bez rąk, bez nóg, ze zdartą do połowy skórą... Oddzielnie, na dnie wąwozu, leżały zwalone jedne na drugim ciała zabitych ośmiu ludzi. Nie można się było zorientować, do którego z zamęczonych co należało, był to poprostu stos zgrubsza narąbanego mięsa, a na nim — stożkiem, jak talerze poukładane jeden na drugim, — leżało osiem żołnierskich pilotek...

Myślicie, że można słowami wyrazić wszystko, co się widziało? Nie, nie można! Takich słów nie ma. Trzeba to samemu widzieć. I w ogóle dosyć o tem! — porucznik Gerasimow zamilkł na długo.

— Czy wolno tu palić? — spytałem.

— Wolno. Palcie w rękaw — odpowiedział ochrypłym głosem i zaciągnąwszy się kontynuował:

— Rozumiecie, że kiedyśmy się napatrzyli na wszystko, co wyrabiali Niemcy, wściekłość nas ogarnęła, zresztą inaczej być nie mogło. Zrozumieliśmy wszyscy, że mamy do czynienia nie z ludźmi, lecz z jakimiś oszalałymi od krwi wyrodkami ludzkimi. Okazało się, że Niemcy z taką samą dokładnością, z jaką kiedyś robili maszyny i narzędzia, teraz zabijają, gwałcą, mordują naszą ludność. Później znów cofaliśmy się, ale biliśmy się jak diabły.

W mojej kompanii prawie wszyscy żołnierze pochodzili z Syberii. Ale ziemi ukraińskiej broniliśmy zaciekle. Wielu z moich rodaków zginęło na Ukrainie, a Niemców ułożyliśmy tam jeszcze więcej. Cóż, cofaliśmy się, ale natarliśmy im pieprzu w nos, ile tylko wlazło. Chciwie zaciągając się papierosem, porucznik Gerasimow powiedział już nieco innym łagodniejszym tonem:

— Dobra jest ziemia na Ukrainie, i przyroda jest tam cudowna! Każde sioło i wioska wydawały się nam bliskie, być może dlatego, że nie skąpiąc przelewaliśmy tam swoją krew, a przecież krew, powiadają, wiąże... Porzuca człowiek jakąś wieś, a serce się kraje, jak przeklęte. Żal chwytał człowieka, bolesny żal! Odchodzimy, i w oczy jeden drugiemu spojrzeć nie może.

...Nie myślałem wtedy, że wypadnie niemieckiej niewoli zakosztować, ale cóż, tak się stało. We wrześniu byłem pierwszy raz ranny, ale pozostałem w szeregach. 21-go w bitwie pod Denisówką, w obwodzie połtawskim, zostałem po raz drugi ranny i wzięty do niewoli.

Niemieckie czołgi przedarły się na naszym lewym skrzydle i tuż za nimi poszła piechota. Walcząc, wyrywaliśmy się z okrążenia. Tego dnia moja kompania poniosła bardzo ciężkie straty. Dwukrotnie odparliśmy ataki czołgów, spaliliśmy i uszkodziliśmy sześć czołgów i jeden samochód pancerny, trupem położyliśmy na polu kukurydzowym ze stu dwudziestu hitlerowców, później jednak ściągnęli oni baterie moździerzy i musieliśmy opuścić wzgórze, którego broniliśmy od południa do godziny czwartej. Od samego rana dzień był upalny. Na niebie ani chmurki, a słońce prażyło, że dosłownie nie można było oddychać. Miny padały bardzo gęsto i — pamiętam — pić się chciało tak, że żołnierzom z pragnienia wargi czerniały; dawałem rozkazy jakimś nieswoim głosem i ostatecznie ochrypłem. Biegliśmy parowem, gdy przede mną wybuchła mina. Zdaje się, że zdążyłem zobaczyć słup czarnej ziemi i kurzu, i to było wszystko. Odłamek miny przebił mi kask, inny trafił w prawe ramię.

Nie pamiętam, jak długo leżałem nieprzytomny, ocknąłem się od tupotu czyichś nóg. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że leżę nie w tym miejscu, gdzie upadłem. Bluzy na sobie nie miałem, a ramię ktoś naprędce obandażował. Nie miałem również kasku na głowie. Głowę także ktoś obandażował, ale bandaż nie był umocowany, koniec jego wisiał mi na piersi. Przez chwilę pomyślałem, że moi towarzysze nieśli mnie i po drodze opatrzyli; z trudem podniosłem głowę, w nadziei, że ich zobaczę. Ale biegli ku mnie nie swoi, lecz Niemcy. Właśnie tupot ich butów wrócił mi przytomność. Widziałem ich bardzo wyraźnie, jak w dobrym kinie. Pomacałem wokoło rękami. W pobliżu nie było żadnej broni: ani nagana, ani karabina, nawet granata nie było. Planszetkę i broń któryś z towarzyszy zabrał.

„A więc tak wygląda śmierć" — pomyślałem. O czym to jeszcze myślałem w owej chwili? Jeżeli wam to jest potrzebne do przyszłej powieści, napiszcie coś od siebie, bo ja wtedy o niczem nie zdążyłem pomyśleć. Niemcy byli już bardzo blisko, a nie chciało mi się umierać w pozycji leżącej. Poprostu nie chciałem, nie byłem w stanie umierać w takiej pozycji, rozumiecie? Zebrałem wszystkie siły i ukląkłem, opierając się rękami o ziemię. W chwili, gdy podbiegli do mnie, stałem już na nogach. Stałem i chwiałem się; okropnie się bałem, że znów za chwilę upadnę i że zakłują mnie w pozycji leżącej. Ani jednej twarzy nie pamiętam. Stali naokoło, coś tam mówili i śmiali się. — Rzekłem: „No, zabijajcie, łotry! Zabijajcie, bo znów upadnę". Jeden z nich uderzył mnie kolbą w szyję, upadłem, ale natychmiast wstałem ponownie. Zaśmiali się i ktoś z nich machnął ręką — jazda, powiada, naprzód. Poszedłem. Całą twarz miałem w skrzepłej krwi, z rany w głowie wciąż jeszcze ciekła krew, bardzo ciepła i lepka, ramię bolało i w dodatku nie mogłem podnieść prawej ręki. Pamiętam, że chciało mi się bardzo położyć i nie ruszać wcale, ale mimo to szedłem...

Nie, bynajmniej nie chciałem umierać, a tym bardziej — pozostać w niewoli. Z wielkim trudem, przezwyciężając zawroty głowy i mdłości, szedłem, a więc żyłem i mogłem jeszcze działać. Och, jak dokuczało mi pragnienie! W ustach czułem spiekotę i przez cały czas, póki nogi się poruszały, przed oczami kołysała się jakaś czarna zasłona. Byłem bodaj zupełnie nieprzytomny, ale szedłem i myślem sobie: „Skoro się tylko napiję i żdziebełko odpocznę — ucieknę!"

Na skraju lasu Niemcy zebrali wszystkich wziętych do niewoli i ustawili w szeregi. Byli to wyłącznie żołnierze sąsiednich formacyj. Z naszego pułku widziałem jedynie dwóch żołnierzy z trzeciej kompanii. Wśród jeńców było wielu rannych. Leutnant niemiecki łamanym językiem rosyjskim spytał, czy są wśród nas komisarze i dowódcy. Wszyscy milczeli. Wtedy po-

KONKURS

na utwór literacki

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Krakowie ogłasza konkurs na utwór literacki (powieść, nowela, wiersz, sztuka teatr.). Warunki konkursu:

1) udział w konkursie może wziąć każdy obywatel polski lub Związku Radzieckiego.

2) utwór może być napisany w języku polskim lub w jednym z języków narodów Związku Radzieckiego.

3) tematem utworu winna być wspólna walka narodu polskiego i narodów Związku Radzieckiego z niemieckim najeźdźcą.

4) termin składania prac konkursowych upływa z dniem 1 stycznia 1946 r. O dniu wysyłki decyduje data stempla pocztowego.

5) I-sza nagroda wynosi 10.000 zł. Ponadto przyznane zostaną dwie drugie nagrody w wysokości po 5.000 zł. W razie wysokiego poziomu nadesłanych prac konkursowych, Zarząd Towarzystwa ustanowić może 5 dalszych nagród w wysokości po 2.000 zł.

6) Sąd konkursowy: w skład sądu konkursowego wchodzą dwaj przedstawiciele Towarzystwa, wydelegowani przez Zarząd, jeden przedstawiciel Związku Zawodowego Literatów, jeden przedstawiciel prasy i jeden przedstawiciel radia.

7) prace konkursowe składać należy w zalakowanych kopertach, opatrzonych w godło autora. Do tej koperty dołączyć należy drugą kopertę zalakowaną, zawierającą godło i nazwisko autora.

8) Zarząd Towarzystwa zastrzega sobie prawo druku wszystkich prac konkursowych

9) Rezultaty konkursu zostaną ogłoszone dnia 1 marca 1946 roku.

10) Prace konkursowe przesyłać należy na adres: Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Kraków, Batorego 14.

Zarząd

tórzył: „Komisary i oficery iść dwa kroki naprzód". Nikt z szeregu nie wystąpił.

Leutnant przeszedł powoli wzdłuż szeregu i wybrał szesnastu ludzi, z wyglądu podobnych do Żydów. Każdego z nich pytał: „Jude?" — i nie czekając na odpowiedź kazał wyjść z szeregu. Wśród wybranych przez niego byli zarówno Żydzi, jak Ormianie, lub poprostu Rosjanie z ciemną cerą i czarnymi włosami. Wszystkich ich odprowadzono nieco na bok i w naszych oczach rozstrzelano z automatów. Później pośpiesznie nas zrewidowano, zabrano nam portfele i wszystko, co mieliśmy z rzeczy osobistych. Biletu partyjnego nigdy nie nosiłem w portfelu, bałem się, że zgubię, miałem go w wewnętrznej kieszeni spodni, i w czasie rewizji nie znaleziono go. Jednak człowiek to dziwne stworzenie: wiedziałem dobrze, że życie moje wisi na włosku, że jeżeli mnie nie zabiją podczas próby ucieczki, to wszystko jedno zatłuką po drodze, bo z powodu wielkiej utraty krwi wątpię, czy będę mógł iść razem z resztą towarzyszy, ale gdy rewizja się skończyła, a bilet partyjny został w mojej kieszeni — tak się ucieszyłem, że nawet o pragnieniu zapomniałem!

Ustawili nas w kolumnę marszową i pognali na zachód. Po obu stronach drogi szła silna eskorta i jakich dziesięciu Niemców jechało na motocyklach. Gnali nas szybkim krokiem i siły moje wyczerpywały się ostatecznie. Dwukrotnie padałem, ale wstawałem i szedłem, wiedziałem bowiem, że jeżeli będę leżał zbyteczną minutę i kolumna przemaszeruje — zastrzelą mnie na miejscu tu na drodze. Tak postąpili z idącym przede mną sierżantem. Był ranny w nogę i szedł z trudem, jęczał, od czasu do czasu nawet krzyczał z bólu. Uszliśmy z kilometr i wtedy głośno rzekł:

— Nie, nie mogę. Żegnajcie, towarzysze! — i usiadł pośrodku drogi.

Towarzysze usiłowali go podnieść, postawić na nogi, ale ciągle padał na ziemię. Pamiętam jak przez sen jego bardzo bladą, młodą twarz, ściągnięte brwi i mokre od łez oczy... Kolumna przeszła. Ranny sierżant został wtyle. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak motocyklista blisko do niego podjechał, nie schodząc z motocyklu wyjął z olstra rewolwer, przystawił do ucha sierżanta i wystrzelił. Zanim dotarliśmy do rzeczki, Niemcy zastrzelili jeszcze kilku żołnierzy, którzy nie mogli za kolumną nadążyć.

Ale oto już widzę rzeczkę, zburzony most i ciężarówkę, która ugrzęzła obok przeprawy, i tutaj padam twarzą w dół. Czy straciłem przytomność? Nie, nie straciłem. Leżałem wyciągnięty jak długi. W ustach miałem pełno kurzu, zgrzytałem zębami ze wściekłości, aż piasek w zębach trzeszczał, ale podnieść się nie byłem w stanie. Obok mnie przechodzili towarzysze. Jeden z nich cicho rzekł: „Wstawaj, bo zabiją cię!". Zacząłem palcami rozdzierać sobie usta, wgniatać oczy, by ból pomógł mi wstać.

Kolumna już przeszła i słyszałem, jak stukają koła nadjeżdżającego motocyklu. A jednak wstałem! Nie oglądając się na motocyklistę, chwiejąc się, jak pijany, zmusiłem się do tego, by dogonić kolumnę i zająć miejsce w ostatnich szeregach. Czołgi i samochody niemieckie, które przechodziły przez rzeczkę, zmąciły wodę, jednak piliśmy ją, tę brunatną ciepłą lurę, i wydawała się nam lepszą niż najświeższa woda źródlana. Zwilżyłem głowę i ramię. Odświeżyło mnie to bardzo, nabrałem znowu sił. Teraz już mogłem iść, mając nadzieję, że nie upadnę i nie zostanę na drodze...

Zaledwie odeszliśmy od rzeczki, gdy na drodze spotkaliśmy kolumnę średniej wielkości czołgów niemieckich. Szły nam naprzeciw. Kierowca przedniego czołgu, spostrzegłszy, że idą jeńcy, ruszył na całego i w pełnym biegu werżnął się w naszą kolumnę. Przednie szeregi zostały zmiecione i zmiażdżone przez gąsienice. Piesza eskorta i motocykliści z głośnym śmiechem patrzyli na ten obrazek, coś tam wrzeszczeli do czołgistów, wychylających się z luk, i wymachiwali rękami. Potem znów nas ustawili w szeregi i pognali bokiem drogi. Weseli ludzie, ci Niemcy, nie ma co mówić...

Tego wieczoru i w nocy nie próbowałem uciekać, zrozumiałem bowiem, że nie potrafię ujść pościgu, zbyt osłabłem od utraty krwi., a poza tym strzegli nas bardzo mocno, i każda próba ucieczki niewątpliwie skończyłaby się niepowodzeniem. Ale jakże przeklinałem siebie potem, że nie spróbowałem uciec. Rano gnali nas przez jakąś wieś, w której kwaterował oddział niemiecki. Żołnierze niemieccy powyskakiwali na ulicę, by na nas popatrzeć. Eskorta zmusiła nas, byśmy przebiegli całą wieś kłusem. Przecież trzeba było poniżyć nas w oczach idących na front żołnierzy niemieckich! Biegliśmy więc, a kto upadł lub zostawał wtyle, ten natychmiast dostawał kulę w łeb. Pod wieczór byliśmy już w obozie dla jeńców.

Było to podwórko jakiejś stacji maszynowo-traktorowej, gęsto ogrodzone drutem kolczastym. Wewnątrz jeden przy drugim stali jeńcy. Przekazano nas wartownikom obozu, a ci kolbami karabinów wegnali nas w ogrodzenie. Powiedzieć, że obóz ten był piekłem — to znaczy nic nie powiedzieć. Ustępów nie było. Ludzie załatwiali swe potrzeby tuż na miejscu, stali i leżeli w błocie i w cuchnącej cieczy. Najbardziej osłabieni w ogóle już nie wstawali. Wodę i pożywienie dawano nam raz na dobę. Kubek wody i garstkę surowego prosa lub zbutwiałego słonecznika — to wszystko. Niekiedy zupełnie zapominano dać nam cośkolwiek...

Po dwóch dniach zaczęły się ulewne deszcze. Błoto w obozie rozdeptano do tego stopnia, że brnęliśmy w niem po kolana. Rano z przemokniętych ludzi szła para, jak z koni, a deszcz lał bezustanku... Co noc umierało kilkadziesiąt ludzi. Od niedożywiania z każdym dniem wszyscy stawaliśmy się słabsi. W dodatku dokuczały mi rany.

Na szósty dzień poczułem, że jeszcze bardziej dolega mi ramię i rana na głowie. Zaczął się proces ropny. Z ran zaczęła się wydzielać nieznośna woń. Obok obozu znajdowały się stajnie kołchozowe, w których leżeli ciężko ranni czerwonoarmiści. Z rana zwróciłem się do dyżurnego podoficera z prośbą o pozwolenie udania się do lekarza, który jak mi opowiadano, znajdował się przy rannych w stajni.



Szołochow wśród żołnierzy na froncie

Podoficer, który mówił poprawnie po rosyjsku, odrzekł:

„Idź do swojego lekarza. On ci natychmiast udzieli pomocy".

Wtedy nie pojąłem drwiny, więc uradowany powlokłem się do stajni.

Lekarz wojskowy przyjął mnie na progu. Był to już człowiek skończony. Wychudzony do niemożliwości, zmęczony wszystkiem, co przeżył, nie był już zupełnie normalny. Ranni leżeli na ściółce z nawozu i dusili się od okropnego smrodu, napełniającego stajnię. U większości w ranach roiło się od robaków, więc kto mógł, wygrzebywał je z ran palcami i patyczkami... Tuż obok leżało wielu zmarłych jeńców — nie nadążano ich wynosić.

„Widzieliście? — spytał mnie lekarz. — Czymże ja mogę wam pomóc? Nie mam ani kawałka bandaża, nic nie mam! Idźcie stąd, na litość boską, idźcie! Zerwijcie wasze bandaże i posypcie rany popiołem. Tu koło drzwi leży świeży popiół".

Tak też zrobiłem. Podoficer spotkał mnie u wejścia, szczerząc zęby w uśmiechu: „No, jak! O, wasi żołnierze mają doskonałego lekarza! Pomógł wam?" Chciałem go w milczeniu wyminąć, ale uderzył mnie pięścią w twarz i krzyknął: „Nie chcesz, bydlę, odpowiadać?!" Upadłem, a on długo jeszcze kopał mnie w piersi i w głowę. Kopał tak długo, póki się nie zmęczył. Tego Niemca nie zapomnę do śmierci, nie, nie zapomnę! Później też mnie bił niejednokrotnie. Gdy mnie tylko przez druty dostrzega, każe wyjść i zaczyna bić, bez słów, w skupieniu...

Pytacie, jak wytrzymałem?

Przed wojną, kiedy nie byłem jeszcze mechanikiem, pracowałem jako tragarz na Kamie, brałem na siebie po dwie worki soli, po 100 kilo każdy. Sił miałem dość, skarżyć się nie można, i organizm w ogóle mam zdrowy, najważniejsze jednak, że nie chciałem umierać, wola oporu była silna. Trzeba było, bym wrócił do szeregów walczących za ojczyznę, i wróciłem mścić się na wrogach do ostatka!

Z tego obozu, który był jakgdyby punktem rozdzielczym, przeprowadzili mnie do innego obozu, w odległości jakichś stu kilometrów od tamtego. Urządzono w nim było wszystko, tak samo jak w tamtym: wysokie słupy, połączone drutem kolczastym, żadnego dachu nad głową, nic. Pożywienie takie samo, tylko niekiedy zamiast surowego prosa dawano nam po kubku gotowanego, zgniłego ziarna, lub też wrzucano do obozu ścierwa zdechłych koni, pozostawiając samym jeńcom prawo podziału padliny. Jedliśmy, aby nie umrzeć z głodu, i umieraliśmy setkami... W dodatku, w październiku zrobiło się zimno, bezustannie lały deszcze, zaczęły się ranne przymrozki. Od zimna cierpieliśmy okropnie! Ze zmarłego żołnierza udało mi się ściągnąć bluzę i szynel. Ale i to nie pomagało, a do głodu tośmy już przywykli...

Pilnowali nas żołnierze wypasieni na grabieży. Charakter mieli wszyscy urobiony na jedno kopyto. Nasza warta składała się z wyborowych, notorycznych łotrów. Zabawiali się naprzykład tak: rano do drutu podchodzi jakiś frajter i powiada za pośrednictwem tłumacza:

„Zaraz będziemy rozdawali żywność. Rozdawać będziemy z lewej strony".

Frajter odchodzi. Z lewej strony ogrodzenia cisną się wszyscy, kto jest w stanie utrzymać się na nogach. Czekamy godzinę, dwie, trzy. Setki drżących, żywych szkieletów stoi na przejmującym wietrze. Stoją i czekają.

I nagle po przeciwnej stronie szybko pojawiają się Niemcy. Przez druty rzucają kawałki porąbanej koniny. Cały tłum, pchany głodem, rzuca się w tę stronę; wokół kawałków wywalanej w błocie koniny toczy się bójka...

Niemcy pękają ze śmiechu, a potem ostro dźwięczy długa seria z karabina maszynowego. Krzyki i jęki. Jeńcy uciekają na lewą stronę ogrodzenia, na ziemi zostają zabici i ranni... Wysoki oberleutnant — dowódca obozu — podchodzi z tłumaczem do drutów. Oberleutnant, z trudnością hamując śmiech, powiada:

„Przy podziale żywności powstały oburzające nieporządki. Jeżeli się to powtórzy, każę was wszystkich, świnie rosyjskie, bez pardonu rozstrzelać! Sprzątnąć zabitych i rannych!"

Żołnierze niemieccy tłumnie zgromadzeni za plecami dowódcy obozu, poprostu umierają ze śmiechu. „Dowcip" komendanta przypadł im do gustu.

W milczeniu wywlekamy z obozu zabitych, grzebiemy ich nie daleko w jarze... Bito nas i w tym obozie pięściami, laskami, kolbami. Bito poprostu z nudów albo dla zabawy. Moje rany zagoiły się, ale później, prawdopodobnie wskutek ciągłej wilgoci i bicia, znów się otworzyły i okropnie mi dokuczały. A jednak wciąż jeszcze żyłem i nie traciłem nadziei na ocalenie... Spaliśmy wprost w błocie, nie było ani ściółki ze słomy, ani w ogóle niczego. Zbijemy się w ciasną kupę i leżymy. Przez całą noc bez przerwy kotłują się ludzie: marzną ci którzy leżą na spodzie, w błocie, marzną i ci, którzy leżą na wierzchu. Było to nie spanie, lecz ciężka męka.

W ten sposób, jakgdyby w okropnym śnie, mijały dni. Z dnia na dzień coraz bardziej opadałem z sił. Teraz nawet dziecko mogłoby mnie powalić na ziemię. Niekiedy z przerażeniem patrzałem na moje wychudłe ręce, obciągnięte jedynie skórą i myślałem: „Jak ja się stąd wydostanę?". Wtedy właśnie przeklinałem siebie za to, że nie spróbowałem uciec już w ciągu pierwszych dni. Cóż, gdyby mnie wówczas zabili, nie przechodziłbym teraz takich strasznych męczarni.

Nadeszła zima. Rozgrzebywaliśmy śnieg, spaliśmy na zmarzłej ziemi. W obozie było nas coraz mniej... Wkońcu zakomunikowano nam, że za kilka dni poślą nas na roboty. Wszyscyśmy ożyli. W każdym obudziła się nadzieja, jakkolwiek słaba, ale przecież nadzieja, że, być może, uda się uciec.

Tej nocy było cicho, lecz mroźno. Przed świtem usłyszeliśmy huk dział. Wszystko się wokół zakotłowało. A gdy huk się powtórzył, nagle ktoś głośno rzekł:

„Towarzysze, nasi nacierają!"

I wtedy stało się coś niepojętego: cały obóz powstał, jak na komendę. Wstali nawet ci, którzy nie podnosili się od kilku dni. Naokoło słychać było gorące szepty i stłumione łkania... Ktoś płakał obok mnie po kobiecemu, zanosząc się... Ja również... ja również... — urywanym głosem szybko wyrzekł porucznik Gerasimow i zamilkł na chwilę, ale potem opanował się i mówił już bardziej spokojnie: — Łzy ciekły mi również po twarzy i marzły na wietrze... Ktoś słabym głosem zaśpiewał „Międzynarodówkę" podchwyciliśmy cienkimi, ochrypłymi głosami. Wartownicy zaczęli do nas strzelać z karabinów maszynowych i automatów, rozległa się komenda: „Leżeć!". Leżałem, wciśnąwszy się w śnieg, i płakałem, jak dziecko. Były to jednak łzy nie tylko radości, lecz również dumy z naszego narodu. Niemcy mogli nas, bezbronnych i bezsilnych z głodu, pozabijać, mogli męczyć, ale złamać naszego ducha nie mogli i nigdy nie złamią. Nie na takich natrafili, muszę to powiedzieć wyraźnie.

*

Tej nocy nie udało mi się do końca wysłuchać opowiadania porucznika Gerasimowa. Wezwano go w pilnej sprawie do sztabu naszej formacji. Ale po kilku dniach spotkaliśmy się ponownie. W ziemiance unosił się zapach pleśni i żywicy sosnowej. Porucznik siedział na ławie, pochylony, ze splecionymi palcami ogromnych dłoni na kolanach. Patrząc na niego, mimowolnie pomyślałem, że to tam, w obozie dla jeńców, przywykł tak oto siedzieć ze splecionymi palcami, milcząc całemi godzinami i ciężko, bezowocnie rozmyślając...

— Pytacie, jak mi się udało uciec? Zaraz wam opowiem. Wkrótce potem, jak w nocy usłyszeliśmy huk armat, wysłali nas na roboty fortyfikacyjne. Po mrozach nastąpiła odwilż. Padały deszcze. Pognali nas na północ od obozu. Znów powtórzyło się to samo, co za pierwszym razem; wyczerpani ludzie padali, Niemcy strzelali do nich i zostawiali na drodze...

Zresztą jednego niemieckiego podoficer zastrzelił za to, że idąc podniósł z ziemi zmarzły kartofel. Szliśmy polem kartoflanym. Starszy sierżant nazwiskiem Gończar, Ukrainiec, podniósł ten przeklęty kartofel i chciał go schować. Podoficer zauważył to. Nie mówiąc ani słowa, podszedł do Gończara z tyłu i strzelił mu w głowę. Kolumnę zatrzymano, ustawiono w szeregi. „Wszystko to jest własnością państwa niemieckiego, — powiedział podoficer, — zakreślając ręką szeroki krąg. — Kto z was weźmie cokolwiek samowolnie, zostanie rozstrzelany".

Gdy we wsi, przez którą przechodziliśmy, zobaczyły nas kobiety, zaczęły rzucać nam kawałki chleba i pieczone kartofle. Niektórzy z nas zdążyli podnieść, innym się nie udało: eskorta zaczęła strzelać do okien, nam zaś kazano iść prędzej. Ale dzieci nie wiedzą, co to strach; wybiegały na drogę o wiele chałup przed nami, kładły wprost na drodze chleb, a myśmy go podnosili. Przypadł mi w udziale wielki gotowany kartofel. Podzieliłem go z sąsiadem, zjedliśmy z łupiną. Nigdy w życiu nie jadłem smaczniejszego kartofla!

Fortyfikacje budowaliśmy w lesie. Niemcy znacznie wzmocnili nadzór, wydali nam łopaty. Nie chciałem budować dla nich fortyfikacyj, chciałem je burzyć!

Tego samego dnia pod wieczór zdecydowałem się: wylazłem z dołu, który kopaliśmy, wziąłem w lewą rękę łopatę, podszedłem do wartownika... Już wcześniej zauważyłem, że reszta Niemców znajduje się koło rowu i że oprócz tego, który miał dozór nad naszą grupą, nikogo w pobliżu nie było.

— Łopata mi się złamała... spójrzcie — bełkotałem, zbliżając się do żołnierza.

W pewnej chwili przemknęła mi myśl, że jeżeli sił nie starczy i nie zwalę go pierwszym uderzeniem — będę zgubiony. Niemiec widocznie wyczytał coś z wyrazu mojej twarzy. Poruszył ramieniem, zdejmując pasek automatu, i wtedy uderzyłem go łopatą w twarz. Nie mogłem uderzyć w głowę, gdyż był w kasku. Sił mimo wszystko starczyło; Niemiec, nie pisnąwszy nawet, wywrócił się na wznak...

Mam w rękach automat i trzy tarcze. Biegnę! Ale okazało się, że biec nie mogę. Nie mam sił i koniec! Zatrzymałem się, odetchnąłem i znów zwolna pobiegłem. Za urwiskiem las był gęstszy, toteż udałem się w tę stronę. Nie pamiętam już, ile razy padałem, wstawałem, znów padałem... Ale z każdą minutą oddalałem się coraz bardziej. Dusząc się i nie mogąc złapać tchu, przedzierałem się przez gęstwinę po drugiej stronie wzgórza, gdy daleko z tyłu zaterkotały serie z automatów i rozległy się krzyki. Teraz schwytać mnie było rzeczą niełatwą.

Zapadał zmierzch. Gdyby jednak Niemcy natrafili na mój ślad i podeszli bliżej — dopiero ostatni nabój zostawiłbym dla siebie. Myśl ta dodała mi otuchy, poszedłem wolniej i ostrożniej.

Nocowałem w lesie. W odległości pół kilometra była jakaś wieś, ale bałem się tam iść, obawiałem się natknąć na Niemców.

Następnego dnia znaleźli mnie partyzanci. Dwa tygodnie wylegiwałem się u nich w ziemiance, okrzepłem, nabrałem sił. Na początku odnosili się do mnie z pewnym niedowierzaniem, chociaż wyciągnąłem spod podszewki szynela naprędce zaszyty w obozie bilet partyjny i pokazałem im. Później, gdy brałem udział w ich wyprawach, stosunek do mnie odrazu się zmienił. Już wtedy otworzyłem rachunek zabitych przeze mnie Niemców, starannie prowadzę go do tej pory, i liczba ich powolutku zbliża się do setki.

W styczniu partyzanci przeprowadzili mnie przez linię frontu. Prawie miesiąc przeleżałem w szpitalu. Usunięto mi z ramienia odłamek miny, a nabyty w obozie reumatyzm i wszystkie inne dolegliwości będę już leczył po wojnie.

Ze szpitala posłano mnie do domu na odpoczynek. W domu przesiedziałem tydzień, dłużej nie mogłem. Ckniło mi się, i od tej pory jestem tutaj. Mówicie, co chcecie, ale moje miejsce jest tutaj, aż do końca.

*

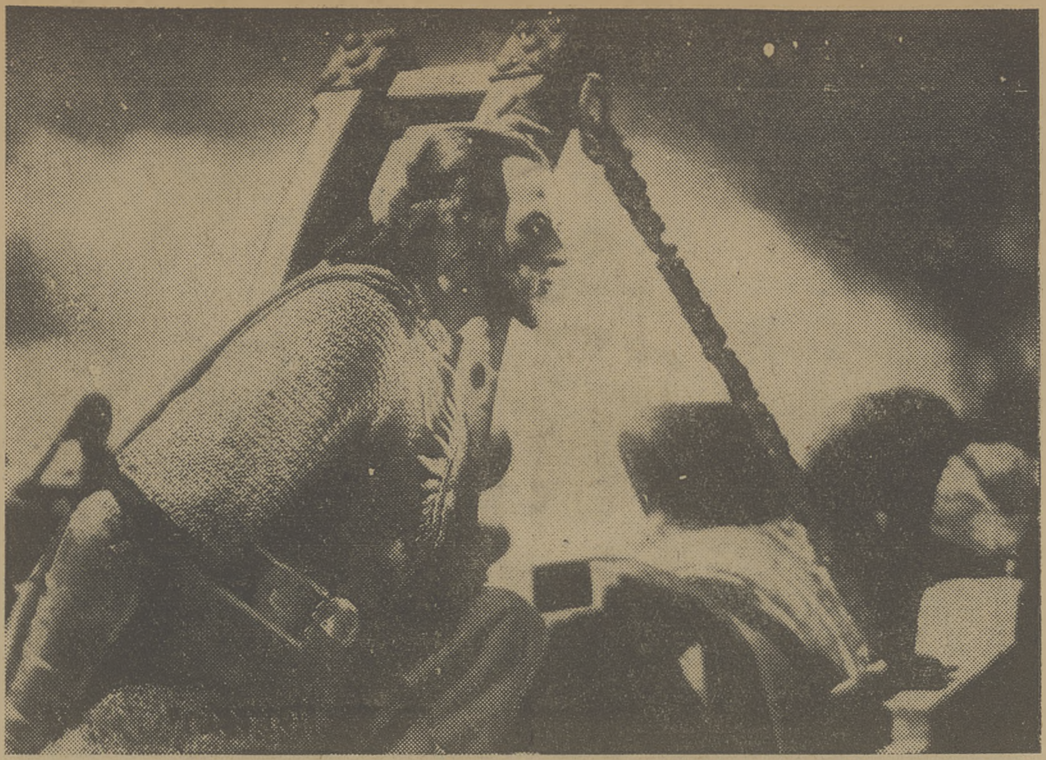
Żegnaliśmy się u wejścia do ziemianki. Porucznik Gerasimow zadumany patrzył na porębę, zalaną jaskrawym światłem słonecznym, i mówił:

— ...I wojować porządnie nauczyliśmy się, i nienawidzieć, i kochać. Na takiej osełce, jak wojna, wszystkie uczucia doskonale się szlifują. Zdawałoby się, że miłości i nienawiści w żaden sposób nie można pogodzić; wiecie, jak to mówią, „do jednego wozu nie można zaprząc konia i drżącej sarny", a myśmy je wprzęgli i ciągną wcale dobrze! Głęboko nienawidzę Niemców za wszystko, co wyrządzili mojej ojczyźnie i mnie osobiście, a równocześnie z całego serca kocham mój naród i nie chcę, by cierpiał pod jarzmem niemieckim. To właśnie każe mi, jak zresztą nam wszystkim, bić się z taką zaciętością — właśnie te dwa uczucia, wcielone w czyn, przyniosą nam zwycięstwo. I jeżeli miłość ojczyzny żyje w naszych sercach i żyć będzie, póki te serca biją, to nienawiść zawsze nosimy na ostrzach bagnetów. Darujcie, jeżeli wyraziłem się zbyt mądrze, ale tak właśnie myślę — kończył porucznik Gerasimow i po raz pierwszy od czasu naszej znajomości uśmiechnął się prosto i mile, jak dziecko.

A ja po raz pierwszy zauważyłem, że ten trzydziestodwuletni porucznik sterany tym, co przeżył ale mimo to jeszcze rześki i silny jak dąb, ma oślepiająco białe, siwe skronie. Nabyta w wielkich cierpieniach siwizna była tak czysta, że biała nitka pajęczyny, która przylgnęła do pilotki porucznika, znikała na jego skroni, i jakkolwiek siliłem się, nie mogłem jej odróżnić.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

Iwan Groźny



Twórca głośnego przed laty filmu „Pancernik Potiomkin", jeden z najznakomitszych realizatorów radzieckiego filmu, Sergiusz Eisenstein, lubi w wolnych od zajęć chwilach rysować. Jego karykatury i szkice mają przeważnie za temat nowy film, nad którym Eisenstein pracuje.

Widzieliśmy ostatnio żartobliwy rysunek Eisensteina, gdzie reżyser skarykaturował samego siebie w drodze z Moskwy do Alma Ata.

W ogromnej tece, pokazanej na tymże rysunku, już wówczas, jesienią 1941 r., kiedy to Eisensteina wraz z wytwórnią „Mosfilm" ewakuowano z Moskwy, znajdował się wariant scenariusza nowego filmu. Napisawszy scenariusz w Moskwie Eisenstein nawet w drodze pracował niestrudzenie nad jego wariantem.

Film ten nosić miał tytuł **„Iwan Groźny"**.

Natychmiast po przyjeździe do Alma Ata, stolicy Kazakstanu, rozpoczęły się pod kierunkiem reżysera przygotowania do przyszłych zdjęć. Były to najcięższe chwile wojny. Wróg podchodził pod Moskwę. Tu, na dalekich tyłach powstawała nowa wytwórnia filmów i podczas gdy wykańczano pawilony do zdjęć, Eisenstein zajęty był szkicami i reżyserskim scenariuszem przyszłego filmu. Około 2000 jego szkiców opracowywał cały zastęp dekoratorów z I. Szpinelem na czele. Tu, do Alma Ata, wydelegował Święty synod, stojący na czele kościoła prawosławnego, protojereja Aleksego, który został doradcą przy filmowaniu scen religijnych obrzędów.

Pod dachem wytwórni odżyło niejedno starodawne rzemiosło: odlewano tu metrowe świece z wosku, wykuwano broń, malowano ikony.

I we wszystkich zakątkach wytwórni, od piwnicy, gdzie toczono trzewiki carewny, aż do strychu, gdzie wypróbowywano charakteryzacje aktorów, zjawiał się reżyser, pomagając wszystkim w pracy radą i wskazówką. W pustych jeszcze halach do zdjęć odczytywał reżyser rolę za aktorów (dekoracja miała ściśle odpowiadać warunkom danej sceny).

Pierwsze zdjęcia dokonane zostały w r. 1942 o 40 klm od Alma Ata. Wojska rosyjskie pod dowództwem Iwana Groźnego oblegały stolicę Tatarów — Kazań. Grupa operatorów miała do czynienia ze skomplikowaną techniką wojenną XVI wieku.

Poruszające się drewniane wieże, w których znajdowały się działa i ukryci byli ogniomistrze, przypominały nieco dzisiejsze czołgi. 6 dział na jednej lawecie — czyż to nie podobne do miotacza min o sześciu lufach? A płonące pociski jakże żywo przypominały dzisiejsze miotacze ognia!

W masowych scenach filmu brało udział przeszło 2000 osób.

Zdjęcia do filmu **„Iwan Groźny"** były wielkim wydarzeniem dla radzieckiego świata filmowców. Zwłaszcza duże zainteresowanie budziły zdjęcia atelierowe. Eisenstein po raz pierwszy przeprowadzał próby z aktorami sam, bez pomocników. W poprzednich bowiem jego filmach przy próbach z aktorami pomocną mu była jego żona, która umarła przed samym rozpoczęciem zdjęć.

Ryżyserską pracę Eisensteina cechuje wielka ekspresja. Reżyser, pokazując jak należy zagrać daną scenę, to sam pada u stóp tronu, to biega po pawilonie, to znów odgrywa scenę liryczną z carycą itd.

Podczas ostatecznych prób reżyser kontroluje po raz ostatni scenę przez wizjer aparatu do zdjęć, korygując jeszcze zauważone w ostatniej chwili niedociągnięcia.

Eisenstein jest niezwykle dokładny w kompozycji sceny i do przesady drobiazgowy, jeśli chodzi o dekoracyjne szczegóły.

Na wiosnę 1944 r. pierwsza seria zdjęć była gotowa i Eisenstein przystąpił do montażu filmu, co w odróżnieniu od innych reżyserów zwykł robić zawsze sam.

Równolegle z montażem scen dokonywano zapisu i montażu ilustracji muzycznej S. Prokofiewa.

Około Nowego Roku film był ostatecznie gotów.

W trakcie pracy nad filmem obchodził Eisenstein swój jubileusz 20 lat pracy w kinematografii.

Jubileusz ten zbiegł się z momentem szczytowego rozkwitu jego twórczego talentu. Film „Iwan Groźny" jest całkowicie jego dziełem. Eisenstein jest zarówno autorem scenariusza, jak montażystą i reżyserem tego na wielką skalę zakrojonego filmu.

KRONIKA KULTURALNA

Teatr

209 wypraw. Z inicjatywy Towarzystwa Teatralnego w Moskwie urządzono w roku ubiegłym 209 wycieczek wybitnych moskiewskich krytyków, reżyserów i aktorów, którzy w różnych miastach prowincjonalnych wygłosili odczyty, zorganizowali dyskusje i udzielili konkretnych rad miejscowym dyrektorom. Ponadto urządzono 13 odczytów dla peryferyjnych teatrów w samej Moskwie. Ta akcja osiągnęła już bardzo dobre rezultaty. Szczególne wrażenie wywarł odczyt Wasyla Toporkowa o Stanisławskim i jego psychologizmie aktorskim. Nestor aktorów moskiewskich Aleks. Jabłoszkin udał się do Leningradu, by wziąć udział w uroczystościach na cześć zmarłej przed 30 laty wielkiej aktorki M. Sawiny.

Teatr Kazakstanu. Za czasów carskich nie było w Kazakstanie ani jednego teatru; zaledwie 2% ludności umiało czytać i pisać. Dziś kraj ten liczy 38 scen; niedawno otwarto przedstawieniem „Grzegorza Dandin" Moliera nowy przybytek sztuki teatralnej w małej miejscowości kozackiej Kryl-Orda. Aktorzy Kazakstanu, którzy odnieśli duży sukces na przedwojennym festivalu w Moskwie, są uczniami szkół dramatycznych Moskwy i Leningradu.

Wojenne sztuki Kornijczuka. Znany dramaturg ukraiński Aleksander Kornijczuk napisał podczas wojny cztery sztuki. Pierwsza z nich, „Partyzanci w stepach ukraińskich", dotyczy walki partyzantów na Ukrainie w pierwszych miesiącach wojny z Niemcami. Druga sztuka p. t. „Front" drukowana była w odcinku „Prawdy" w okresie najbardziej krytycznym; jej przedmiotem są losy wyższego dowódcy, który przegrywa bitwę nie umiejąc zastosować nowoczesnych metod wojennych. Dalszy utwór nosi tytuł: „Misja Mr. Perkinsa w kraju Bolszewików", celem autora było tutaj zaznajomienie z Amerykaninem, którego pierwotna nieufność wobec Związku Sowieckiego przeobraża się w przyjaźń pełną zrozumienia. Wreszcie utwór czwarty, to „Powrót do Zwankoje". Bohaterem jest żołnierz już zdemobilizowany po zakończeniu wojny; wraca on do rodzinnej wioski i tutaj — zamiast zezwolić sobie na zasłużony odpoczynek — postanawia zakasać rękawy, by zabrać się do wielkiego dzieła odbudowy.

Muzyka

Pierwsze wykonanie dziewiątej symfonii Szostakowicza. Wczoraj wieczorem odbyło się w Leningradzie pierwsze publiczne wykonanie dziewiątej symfonii znakomitego kompozytora rosyjskiego Dymitra Szostakowicza. Utwór wykonała wielka orkiestra Filharmonii Leningradzkiej pod dyrekcją słynnego kapelmistrza Mrowińskiego. Salę koncertową wypełniła po brzegi publiczność, wśród której znajdowały się osoby specjalnie przybyłe na koncert z Moskwy i innych miast Z. S. R. R. Nowa symfonia Szostakowicza jest doniosłym wydarzeniem w życiu muzycznym nie tylko Związku Radzieckiego, ale i całego świata. Świadczy ona o przełomie w twórczości znakomitego kompozytora. Po bohaterskiej siódmej i elegijno-żałobnej ósmej symfonii — dziewiąta symfonia Szostakowicza wykazuje powrót do radosno-optymistycznego nastroju autora.

Repertuar teatru muzycznego w Armenii. Powszechne zainteresowanie w Armenii budzi premiera opery „Almast" Spendiarowa; treść tej opery, zaczerpnięta z poematu Tumianowa, obrazuje walkę Armeńczyków o niepodległość. Poza tym repertuar opery obejmuje: „Aidę", „Rigoletto", „Otella", „Iwana Suzama" Glinki, „Fausta", „Cyrulika Sewilskiego", „Hugenotów", „Madame Butterfly", oraz balety Czajkowskiego i Asafiewa.

Literatura

Antologię poezji angielskiej wydał w języku rosyjskim znany sowiecki pisarz Samuel Marszak. Antologia obejmuje 80 ballad i poematów Szekspira, Shelleya, Keats'a, Burns'a, Will, Blake'a, Wordsworth'a, Stevenson'a, Kipling'a i innych. Nakład wynosi 25.000 egzemplarzy. Marszak pracował nad swymi przekładami od roku 1910.

Tydzień książki dla dzieci. Od 15—22 X. odbył się w Moskwie i Leningradzie tydzień książki dla dzieci, zorganizowany przez Literacki Dom Wydawniczy, oraz Centralną Radę Związków Zawodowych Z. S. R. R. Urządzono wystawę obejmującą najlepsze książki dla dzieci z ostatniego 12-lecia (od roku 1933). Odczyty i pogadanki wygłosili pisarze: S. Marszak, Wal. Katajew, Sergiusz Michałow, Lew Kamel. Przytoczono, że od r. 1933 ukazało się w Z. S. R. R. 3.000 książek dla dzieci o nakładzie 260 milionów egzemplarzy. Istnieje też „Biblioteka Autorów Zachodnich" z dziełami Twain'a, Steinbeck'a, Henningway'a, Caldwell'a i innych.

W Estonii urządzono wystawę książek, wydanych po r. 1940 (data przyłączenja do ZSRR). Obejmuje ona trzy działy: a) książki wydane do chwili zajęcia Estonii przez Niemców, b) na emigracji w Z. S. R. R., c) po wyzwoleniu. W ciągu ostatniego roku ukazało się (od października 1944 do września 1945) — ponad 400 książek.

Nauka

Powrót. Do Leningradu wróciło 650 skrzyń z biblioteki Sołtykowa — Szczedryna, ewakuowanych na czas wojny. Skrzynie te zawierały cenne rękopisy, inkunabuły, „russica" i rzadkie wydanie z XVIII wieku, a także słynna biblioteka Woltera, rękopisy Żukowskiego i zbiór czasopism.

Historia sztuki rosyjskiej. 5-tomową „Historię sztuki rosyjskiej" przygotowuje do druku Instytut Historii, należący do Akademii Nauk Z. S. R. R.

150-lecie wiekopomnego odkrycia. W Z. S. R. R. odbędzie się uroczyście obchodzony jubileusz odbytej przed 150 laty, przez Anglika Jenner'a i Francuza Pasteur'a, szczepionki przeciw ospie. Utworzono komisję z przedstawicieli Naukowej Rady Lekarskiej Komisariatu Zdrowia i Akademii Nauk Lekarskich pod przewodnictwem honorowego akademika Gamalei. Projektowane jest wydanie książki „Ospa i szczepienie ochronne w Rosji i Z. S. R. R. w okresie ostatnich lat 150", dalej urządzenie odpowiedniej wystawy, oraz zjazd mikrobiologów, epidomiologów, pediatrów i hignienistów.

Sztuki plastyczne

Powiększenie galerii Tretiakowskiej. Akademik Suszew i architekt Smiegiriew projektują podwojenie galerii Tretiakowskiej, największego muzeum sztuki Z. S. R. R., którego twórcą był w XIX stuleciu malarz Wazniecow.

Odbudowa Ak. Sztuk Pięknych. Budynek Akademii Sztuk Pięknych w Leningradzie, zniszczony działaniami wojennymi, został odbudowany. Na 2.000 kandydatów przyjęto tylko 120; wśród nich są inwalidzi drugiej wojny światowej i żołnierze odznaczeni tytułem Bohaterów Związku Radzieckiego.

Wystawa sztuki ukraińskiej. Kijowska Akademia Sztuki przygotowuje wystawę plastyków ukraińskich, na którą nadesłano już ponad 350 obrazów i rzeźb. Tematyką dotyczy ona głównie walki z Niemcami.

„ROSJANIE" SIMONOWA



w Krakowie

W Teatrze Miejskim w Krakowie dużym powodzeniem cieszyła się sztuka Konstantyna Simonowa p. t. „Rosjanie", obrazująca walkę Narodu Rosyjskiego z niemieckim najeźdźcą.



w Moskwie

Sztuka ta wystawiona była po raz pierwszy w najlepszym rosyjskim teatrze **M Ch AT** (Moskiewski Teatr Artystyczny).



— Zapłacić tyle pieniędzy za kapelusz!... Przecież to grzech!
— Niech ten grzech spada na moją głowę.



Udany połów.

Redaguje Komitet. — Nakładem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Krakowie. — Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Batorego 14. Drukarnia I pod Zarządem Państwowym.